

**AD VOCEM DO TEKSTU ŁUKASZA FIJAŁKOWSKIEGO „AKT MOWY” I „JĘZYK  
BEZPIECZEŃSTWA” A KONSTRUOWANIE GLOBALNYCH ZAGROŻEŃ  
(DYSKURSYWNE PODEJŚCIE DO BEZPIECZEŃSTWA)**

Czy w epoce wszechogarniającego medialnego szumu informacyjnego możemy sami wygenerować „stan zagrożenia” jedynie przez sam fakt nazwania określonych zjawisk jako potencjalnie niebezpiecznych? Okazuje się, że tak. Wyłącznie od naszej siły perswazji i percepcji odbiorcy zależy, czy osoby, z którymi się komunikujemy, lub na które wywieramy wpływ (przy pomocy komunikacji werbalnej i obrazkowej) mogą zinterpretować potencjalnie neutralne dla nich zjawisko lub fakt jako budzące obawę, a nawet strach. O sile podatności medialnych społeczeństw XXI wieku na odpowiednio spreparowaną informację pisze w swym eseju Ł. Fijałkowski. Ponieważ są to rozważania na bardzo wysokim stopniu ogólności uznałem za interesujące podpięcie pod ten wywód kilku wydarzeń, które wydają się potwierdzać wiele z przywołanych tez.

„Nazywanie” zagrożenia to nic innego, jak dawne „samospełniające się przepowiednie”, czy też „wywoływanie wilka z lasu”. Nauka nie odkrywa w tym względzie niczego nowego, gdyż od wieków ludzie obawiali się nieznanego i wierzyli, że jeśli się zła „nie nazwie” to niewywołane nie nadejdzie. Jeśli zaś się pojawiało, często szukano osoby, na którą można byłoby zrzucić odpowiedzialność za to, co nastąpiło. Przełom XX i XXI wieku, a zwłaszcza czasy nam współczesne, to okres przyspieszonej ewaluacji „[nie]bezpieczeństwa”. To co dziś nazywamy/określamy złem i co przez fakt tego nazwania/określenie „staje” się nim w przestrzeni publicznej oraz zbiorowej świadomości przez milenia, wieki i dekady pozostawało co najmniej neutralne.

11 września 2001 roku światem wstrząsnęły obrazy walących się wieżowców Centrum Handlu Światowego w Nowym Jorku. Był to niewątpliwie jeden z największych aktów terrorystycznych w historii współczesnego świata. Terroryzm od dawna był uznawany za zagrożenie, jednak same akty terrorystyczne w przestrzeni publicznej i społecznej świadomości stawały się takimi dopiero po ich wyraźnym nazwaniu i wskazaniu potencjalnych

sprawców. Jest to o tyle uzasadnione, że żaden terrorysta w zasadzie nie chce uchodzić za terrorystę. Jest żołnierzem, partyzantem, karzącą pięścią sprawiedliwości, bojownikiem jihu, głosem uciskanych, mścicielem, zbawcą, aniołem grozy... Podobnie jest z „drugiej strony” W zależności od układów politycznych, interesów międzynarodowych, lokalnych i geostrategicznych możemy przyjąć, że potencjalnym terrorystą (a więc jasno określonym i wskazanym zagrożeniem bezpieczeństwa) jest każdy bojownik o wolność, demokrację i prawa człowieka, który nie znajduje się na „naszej” liście płac.

Założenie to było mi potrzebne, byśmy przeszli jeden z wzorcowych przykładów „niebezpieczeństwa określonego” — wojnę ze światowym terroryzmem ogłoszoną przez George’a W. Busha w 2001 roku. Nieistniejące *de facto* niebezpieczeństwo za sprawą całkowitem realnego zagrożenia, jakim był atak terrorystyczny z 11 września, zostało spersonifikowane i na zawsze zmieniło naszą rzeczywistość. Za sprawą polityków oraz mediów, dla których był to największy *primetime* w historii powojennego świata — może poza lądowaniem człowieka na księżycu — wszyscy ludzie dowiedzieli się, że światowy terroryzm istnieje, że rośnie w siłę, że zagraża wszystkim dookoła, że każdy z nas może za chwilę paść jego ofiarą. Za określeniem/nazwaniem niebezpieczeństwa poszło szybko wskazanie „winnego”. Tu znów mieliśmy do czynienia z niespotykanym wcześniej zjawiskiem wykreowania wroga publicznego. Został nim Osama bin-Laden, który w imieniu Al-Kaidy przyznał się do zorganizowania ataku na WTC. Co ciekawe, był to wcześniej „nasz bojownik o wolność i demokrację”. Dopóki walczył w Afganistanie, dopóki pomagał w werbowaniu mudżahedinów i za cel miał obalenie „imperium zła” nie był zagrożeniem dla bezpieczeństwa (?). Nawet kiedy formalnie kierowana przez niego Al-Kaida (prawdziwym mózgiem tej struktury był i jest Aymanaz-Zawahiri) dokonywała zamachów bombowych w Kenii i Tanzanii oraz ciężko uszkodziła USS Cole w Jemenie nie nazwane niebezpieczeństwo — „światowy terroryzm” — nie istniało. Narodziło się 11 września 2001, kiedy upokorzone Stany Zjednoczone szukały człowieka/organizacji/miejsca do przykładowego ukarania.

W stosunkowo krótkim czasie kompletnie niedefiniowalne z operacyjno-wojskowego punktu widzenia zło stało się wszechobecne, zagrażające demokratycznemu światu i wszystkim jego mieszkańcom. A kiedy już powstało — zostało opisane przez media oraz zdefiniowane przez usłużnych analityków, po czym przystąpiono do walki z nim — George W. Bush poprowadził świat na wojnę z duchami. Tym razem jednak wywołany z lasu wilk okazał się wyjątkowo niebezpieczny. Dzięki temu, że stał się „zagrożeniem dla demo-

kratycznego świata” osoby uznające ów świat za zagrożenie dla swego świata, dla swych wartości dostali jasno określony cel i narzędzie (Al-Kaida) do jego realizacji. Bez „krucjaty” przeciwko islamskiemu fundamentalizmowi dziesiątki, a potem setki tysięcy mudżahedinów nie znalazłoby swej drogi... jihu.

Dziś nadal jesteśmy zakładnikami owego dnia, kiedy kilku analityków i planistów w Białym Domu nazwało niebezpieczeństwo wyłaniające się z dymów zburzonych budynków. Być może, gdyby wówczas określono je znanymi już wcześniej słowami – „terroryzm o zabarwieniu fundamentalistycznym” – cały XXI wiek wyglądałby zupełnie inaczej.